

SKAUT

CZASOPISMO POLSKIEJ MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

TADEUSZ HOLLENDER.

DO ALLANA GERBAULT'A.

*Jak wiadomo „tramp oceanów” wyruszył
w nową podróż morską.*

REDAKCJA.

Noc darła ci białe żagle
i szeptał zdradliwie księżyc,
niepokój dali naglił,
kiedyś się we śnie prężył.

Czasem daleki okręt,
światłem ci oczy otworzył,
zgarniałeś włosy mokre
i znowu — sam byłeś na morzu

Pewnie myślałeś o Bogu,
och, miałeś czas na myślenie,
gdys bezwietrznie, noga za nogą
wędrował jak gwiazda w przestrzeni.

Gdy przechylony, na burcie,
W uścisku wихru namiętnym,
w marynarskiej, podartej kurcie
obmyślałeś swój dziwny pamiętnik.

Na Oceanie Spokojnym
coraz w innej sypiałeś przystani,
jak pątnik bogobojny
liczyłeś sznur wysp jak różaniec.

Kiedy ci było smutnie,
mewy biły późnym świtaniem
skrzydłami w żaglowe płótno
i wołały — Allanie, Allanie,

I wiązałeś, jak liny podarte
dzień z nocą, noc z dniem bez ustanku,
choć się darły — zuchwały, uparty,
wciąż łączyłeś je przez noc do poranku.

Jakiej jeszcze pożądasz podróży
przyjacielu West'u i Nord'u,
te trzy lata od szkwału do burzy,
już nie dadzą lepszego rekordu.

Gdzie pojedziesz, popłyniesz, polecisz,
Miałeś ziemię kuliście wyminąć,
poleciałeś kołem po świecie,
aby wrócić tam, skądś wypłynął

Chyba jeszcze przypomnisz się Bogu
i dziób statku ku niebu obrócisz.
pożeglujesz rzeką mlecznej drogi
Lecz Allanie — czy wrócisz? czy wrócisz?



W KRĘGU OGNISKA.

Przy naszym ognisku dyskusyjnym zabiera dziś głos dh. hm. Dr. Leszek Czarnik. Posłuchajcie co mówi:

Różnicę między skautingiem angielskim, a harcerstwem, stworzył sposób dostawiania do życia i kąpiel obywateli — o wiele szerszy w Polsce. Tą samą metodą, polegającą na samowychowaniu i sportowym stosunkiem do życia, skauting chce tylko wychować chłopca, Harcerstwo i stworzyć ruch społeczny, tworzący wyśoki *niveau* etyczny młodej Polski. Do takiego ujęcia dochodzą ci, co bądź sami Harcerstwo przeżyli, bądź też stojąc na uboczu, głęboko je przemysłili. Jeśli nie chcemy z tak wysokiego celu rezygnować, musi Z. H. P. być spoiwastą organizacją, której kierownicy świadomi celu, twardą ręką potrafią ją przeprowadzić.

Nie można zgodzić się z Bombajem, który w ostatnim „Harcistrzu” rzucił hasło angażowania ludzi z poza Z. H. P., „całe społeczeństwo, nade wszystko zaś nauczycielstwo dobrze już zna harcerstwo! A zarówno harcerstwo i ruch zachowywony jest jedną specjalną mądrością czy nauką.

J. CZARNY GRZESIAK.

ESTOŃSKIE WYWCZASY.

(Esti Skautide Malewa II Suurlaager-Parnus Doberanis 1932 r.)

Wprost z obozu, po trzech tygodniach obozowania na Zlocie Choragwi Wileńskiej i w obozie stałym, wyruszyła „Czarna Trzynastka” Wileńska Drużyna Harcerzy, jako reprezentacja Z. H. P. na Złot Skautów Estońskich.

Świadomi zaszczytu, ale i odpowiedzialności za godne reprezentowanie Polski, wzięliśmy z sobą, oprócz doskonałych humorów i zapasu pokazów, sporo materiałów propagandowych w postaci wyrobów regionalnych, fotografii i broszur.

Jedziemy. Mijamy Turmiony, gdzie

harcistrze zaś niepotrzebnie oblekają się w szaty augurów! Dobra wola, zapał, przeczytanie dwóch książek, parogodzinny kurs — i grupa wodzów zachowujących gotowość.

— Że nie jest H-wo specjalną nauką — zgoda! Do dobrego prowadzenia drużyny trzeba jednak o wiele więcej — trzeba prócz wiadomości technicznych, także przejęcia się Duchem Skautowym. Tego na parogodzinny kurs nie zrobi się!

Werbowanie na prawo i lewo wszystkich chętnych, celem rozszerzenia Ruchu, łatwo może rozluźnić spoiwastę i karność Organizacji.

Już dziś wielu z tych ludzi, którzy otarli się o Z. H. P. rości sobie pretensje do tego, iż oni tylko rozumieli czem jest harcerstwo, stąd też zjawiają się głosy, które ze skautingu, organizacji powstałej w ogniu walki, mającej w pierwszym rzędzie na celu wykształcenie żołnierza kolonialnego, chcą zrobić wyłącznie organizację wychowania fizycznego.

Rozszerzać harcerstwo trzeba i to szybko, ale oprócz się musimy na jednostkach, w naszych szeregach wychowanych i wyszkolonych.

o mało nam bagażu nie wyładowano. Rygę w której spotykamy się z Lotyszami i Litwinami, z którymi jedziemy już dalej razem i Valk — stację graniczną między Łotwą a Estonją. Dalej wspaniała całoocna jazda wąskotorówką (oby nią harcistrzów w rezerwie wożono!) i rano jesteśmy w Parnawie (Pärnu).

Bracia-skauci estońscy witają nas okrzykami, orkiestra wesoło przyczyrywa i po zapoznaniu się z komendą Złotu maszerujemy do portu.

Przy dźwiękach trąbki, z rozwiniętą

flagą narodową i sztandarem, w pełnym rynsztunku, maszerujemy przez miasto. Przed nami Lotysze i Litwini, wygodniejsi, gdyż idą bez rynsztunku.

Ładujemy się na duże łodzie motorowe i jedziemy na teren Złotu, wesoło śpiewając lub gwarząc ze skautami litewskimi i lotewskimi. Z przykrością jednak stwierdzamy, że Litwini jakos nie mają ochoty z nami rozmawiać i to ani po polsku ani po rosyjsku, ani nawet po litewsku. Coś u nich słabo braterstwo skautowe rozwinięte — mówi mój sąsiad. A szkoda.

Dojhamy do brzegu i za kilka minut jesteśmy na terenie Złotu.

Jesteśmy zachwyceni. Czego, jak czego, ale tak wspaniałego terenu to nawet... Złot Wileński nie posiadał. Stary las sosnowy... Piękne polany... Plaża... Morze... Urządząmy się luksusowo w pięciu wygodnych namiotach typu angielskiego, z których jeden mieści świetlicę, pięknie w stylu regionalnym przybraną i bogato zaopatrzoną w fotografie, albumy i broszury propagandowe.

Wieczorem bractwo skautowe zwołano naszym śpiewem i dźwiękami obozowej orkiestry tłumnie się u nas zbiera i sypie pierwsze oklaski.

Następny dzień upływa nam na wykończaniu prac obozowych, przygotowaniach do pokazów i zawieraniu znajomości z sąsiadami.

Dowiadujemy się, że Złot zgromadził około 800 skautów, w tem 72 Lotyszów, 38 Litwinów, 26 Polaków, 16 Szwedów, 11 Finów, 2 Francuzów i 1 Węgier.

W niedzielę uroczyste otwarcie Złotu. Reprezentacja polska zostaje zwiększona przybyłymi z Polski d-hami mjr. A. Sikorczki i hm. I. Wolkowiczem, których serdecznie witamy. Przed przybyciem do obozu p. prezydenta Estonji, witamy p. K. Libickiego ministra pelhomonego R. P., który przybył w tym dniu na Złot.

Wzduż wybrzeża morskiego, ustawiają się drużyny złotowe i tutaj witamy p. prezydenta Estonji. Potem defilada... Liczne brawa i stajemy na głównym placu zbiórki. Po kilku przemówieniach i modlitwie, przy dźwiękach hymnu estońskiego, nastąpiło podniesienie na masztach flag wszystkich państw reprezentowanych na Zlocie.

Potem nastąpiło zwiedzanie obozów przez p. Prezydenta i licznie przybyłych gości.

Po kilkunastu minutach przybywa p. Prezydent do naszego obozu. Wita go przy bramie d-h Wolkowicz, składa raport komendantowi — reprezentacji i po wygłoszeniu przemówienia w języku estońskim (aż nam żal było d-ha Wolkowicza, który tego bohaterstwa dokonał!) d-h Wolkowicz wręczył p. Prezydentowi krzyż Hoarowego Harce-

rza Rzeczypospolitej. Krzyknęliśmy morowo Elagu Estimal! (Niech żyje Estonia!) i Czujcie, czuwaj! P. Prezydent wzruszony, długo przemawiał podkreślając, że „nasze myśli są waszami myśłami” i zakończył okrzykiem: Elagu Poola! powtórzonym trzykrotnie przez jego świtę i starszyznę estońską.

Nastąpiło zwiedzanie obozowych urządzeń i świetlic, poczem p. Prezydent, żegnany okrzykami drużyny opuścił oboz. Przy wyjściu z obozu zatrzymał się i jeszcze raz wzniósł okrzyk na cześć Polski.

W ciągu całego dnia tłumy zwiedzających wprost zalały złotowe obozowiska.

Polski oboz wzbudzał podziw u zwiedzających. Pięknie udekorowana świetlica,



Na dworcu w Pärnu witał harcerzy komendant Złotu Skautów Estońskich.

kapliczka, tablica rozkazów, kuchnia typu hukuckiego, urządzenia namiotów, meble obozowe z sośniny i w. i. r. rzeczy zatrzymywano na sobie wzrok zwiedzających. Trzynastasy gościnnie oprowadzali, udzielając objaśnień w różnych językach. W świetlicy królował d-h L. Bar referent propag-prasowy naszej wyprawy.

Program wieczornego ogniska złotowego, blisko w połowie wypełnili polskie popisy nagradzane oklaskami i okrzykami. Szczególnie podobały się nasze tańce ludowe (krakowiak, trojak, zbojnicki), wykonane w barwnych strojach, przy dźwiękach własnej orkiestry. Sensację budziły „Polki” biorące udział w tańcach, a nawet były tacy, co nie chcieli wierzyć, że to nasi chłopcy tak doskonale rodzą żeński w tańcach zastępowali. Czyż to źle świadczy o naszej przydatności?

Tańczęliśmy później na stadionie sportowym w Pärnu i na balu reprezentacyjnym, zawsze wywołując bujne oklaski.

I tak wszystko było piękne, od słonecznych wywczasów i kąpeli poczynając, a na ziemniakach w „derlichach” kończąc, gdyby nie Litwini, którzy i tu na skautowym

Złocie, zaczęli prowokacyjną politykę w sprawie Wilna.

Zbudowali oni w swoim obozie klomb z podobizną Góry Zamkowej, znajdującej się w Wilnie i zatkałi na szczycie baszty flagi litewski.

Nie pomogły prośby komendy Złotu i delegacji drużynowych estońskich aby „ozdobę” usunęli. Uważając, że taki stan rzeczy nie pozwalała nam na dalszy pobyt na Złocie, chcieliśmy Złot opuścić.

Pożegnaliśmy się ze wszystkimi reprezentacjami i pomaszzerowaliśmy przed komendę Złotu. Tutaj jednak spotkała nas miła niespodzianka, gdyż cała zebrana komenda, w różnych językach prosiła nas o pozostanie na Złocie, a gdy to nie pomagało, nadbiegli skauci estońscy i na ramionach przeniesli nas z powrotem do polskiego obozu. Tam czekała na nas delegacja drużynowych estońskich i powołując się na braterstwo skautowe prosiła o pozostanie do końca Złotu. Tymczasem bractwo skautowe czekało na naszą decyzję, wnosząc okrzyki na cześć Polski.

Wzruszeni temi dowodami sympatji zdecydowaliśmy się pozostać na Złocie, flaga

czając, że czynimy to tylko w imię braterstwa skautowego i że sprawę niewłaściwego postępowania skautów litewskich, skierujemy do Międzynarodowego Biura Skautowego. Dalsze dnie obowozowania Złotu nam upływały.

Braliśmy udział w ofensywie skautowej na mieszkańców Parnawy, spotykając się z dowodami wielkiej sympatji ze strony Estończyków, a specjalnie marynarzy estońskich, którzy w języku polskim wnosili okrzyki: „Niech żyje Polska”. Urządziliśmy przyjęcie dla członków komendy Złotu i instruktorów innych organizacji, przyjmując ich czarną kawą z koncertem naszej orkiestry obozowej i obdarowaliśmy Estończyków krąjkami i książkami. Organizacji estońskiej wręczyliśmy ładny proporzec, a przewodniczącemu ciupagę stalową.

Po zwinięciu obozu złotowego, wiedziliśmy Tallin, będąc gościnnie przyjmowanymi przez p. K. Libickiego, ministra pełn. R. P. i Rygę. Będąc w Rydze, złożyliśmy wieńiec na „Bratach Mogiłach” wojowników o niepodległość Łotwy.

Przy końcu lipca byliśmy już w Wilnie.

♦ ♦ ♦ ♦

ŚLAD NA WODZIE.

Rozdział VIII w którym widzimy jak komisarz Francis French przeprowadza lustrację.

Do drzwi zaproszonej biblioteki w której pracował Mr. Bookson, ktoś gwałtownie zapukał i nie czekając na zaproszenie wpadł do środka.

Był to Tomek Clever.

— *Good morning, Sir!* — zawołał od progu — przybiegłem z ważną nowiną.

— *What is the news?* — zapytał spokojnie Szpargalarz, odwracając się do chłopca.

— Jim Brown widział dziś na dworcu gentelmana w skautowym mundurze, z czerwoną kitką przy lilij kapelusza.

— *What! District Commissioner?*

Yes!

Szpargalarz zdjął okulary i zaczął przecierać oczy, żywo poruszony przyniesioną wiadomością.

— Co Brown robił na dworcu?

— Odprowadzał matkę, wyjechała dziś do Barrow.

— Masz szczęście Tom — zawołał nagle bibliotekarz, spójrzawszy na kalendarz — dziś jest środa, zbiorczą tego patrolu. Mr. Francis French, bo to zapewne jego musiał widać Jim, będzie was lustrować.

— *Very well!* — zawołał weselo patrolowy wilków — czy ma mi pan co jeszcze do powiedzenia.

— *Remember me to your boys.*

— *Thank you, Mr. Bookson.*

Good morning!

— *Farewell!*

Tom wybiegł szybko z biblioteki. Nie bał się lustracji, owszem chciał się pochwalić swoim patrolom. Wiedział, że jego wilki potrafią wiązać węzły z zamkniętymi oczyma, że sygnalizują semaforami, jak marynarze, a morsmem, jak telegrafści, że w sztuce gotowania nie ma dla nich

zadnych tajemnic, a narzędziami pionierskimi umieją się posługiwać jakby od urodzenia nic innego nie robili — czego mógł się obawiać, na czym można było przylapać jego patrol?

Tom Clever, pewny siebie, zdawał komisarzowi raport. Patrol wilków stał obok z linami, chorągiewkami, siekierami i kociołkiem, gołwów do wykazania swych sprawności.

Mr. French uśmiechnął się.

— Bravo chłopcy — rzekł — ale odnieście to wszystko do izby, wiem, że władacie tem wszystkim doskonale. Zajmiemy się dlatego czem innym. Słyszałem, że ostatnio specjalnie poświęciliście się tropieniu?

Clever ostupał. Klapa — że, też o tem właśnie nie pomyślał, wszak o najstarszy punkt patrolu, że się tak powie: achillesowa pięta jego wilków.

— Tropieniu — mruknął — no, tak specjalnie znów, to nie. — Tom był nieco zmieszany.

— Przecież opuściliście nawet z tego powodu jedną zbiórkę. Czyż nie?

— Ach! to znowu inna sprawa, to przez Freda Laży i jego zniszczoną książeczkę.

— To musi być coś ciekawego i ważnego, chętnie o tem posłucham.

— Ach! Mr. Commissioner, tego doprawdy nie warto opowiadać. To bardzo głupia historia, z którą przez długi czas nie mogliśmy sobie dać rady.

— Nic nie szkodzi. Bo niech was się nie zdaje, moi chłopcy, że lustrator jest poto tylko, aby dokonywał przeglądów i sprawdzał wiadomości i żeby odbierał was oznaki, jeśli te wiadomości są niedostateczne.

Wręcz przeciwnie, głównem zadaniem komisarza jest służyć wam radą i pomocą. Czy teraz zechcecie mi opowiedzieć o waszych sprawach?

— Dobrze, Mr. French. Laży to

najlepiej zreferuje. Ale czy nie zechce pan pójść z nami do lasu — bo on się najlepiej wypowiada w lesie...

W małym lasku było cicho i spokojnie. Wilki rozsiadły się wokół na trawie i wraz z instruktorem przysłuchiwały się dziwnej opowieści Freda, jak to w miary przez lekkomyślność pewnej dziewczyny mała książeczka zawieruszyla w lesie i jak wszelki trop po niej zaginał, tak jak ślady na wodzie.

Mr. Francis słuchał opowiadania z zajęciem i uważnie, a kiedy Laży skończył kiwnął mu głową i rzekł:

— Tak! opowiadanie bardzo ciekawe. Nie zdziwiłbym się, gdyby ta książka okazało się stare dziełko Henry Thoreau: *Walden, or life in the woods* z roku o ile się nie mylę 1854. Jakkolwiek jednak jest, pamiętajcie o jednym, że wprawdzie mówią „*Look in the Book*”, ale życia nie można nauczyć się z książki. Życia trzeba się uczyć... z życia. I wy właśnie jesteście na dobrej drodze. Nie wincie Polly Johnson, gdyby nie ona, Laży nigdyby nie stał się takim, jakim jest. Nigdyby mu las nie szumiał tak jak szumiał. Nigdyby Charles Skirtson nie wyprowadził swoich ciekawych teoryj. Ale Skirtson ma słuszność, dajcie do czegoś, to znaczy iść czystemi śladami. Tropcie więc daleki chłopcy, idźcie śladami waszych wielkich poprzedników i tak jak Laży, szukajcie swojej własnej „zawieruszonej książeczki”. Szukajcie, a znajdziecie.

— A teraz na zakończenie tej zbiórki wnieście wasz okrzyk skautowy. Chcę go usłyszeć, zgoda?

Wilki zerwały się jak jeden mąż, i na znak który im dał ich patrol leader, wrzasnęli głośno na cały las i okoliczne łąki:

— *Adigi, Adigi, zup, zum, zi! Czingerata, Czingerata, bim, bum bil Zipzum, Zipzum, ra, ra, ra! Karabora, Karabora! Uraaa!*

Epilog.

Mineło kilka lat, czy ja wiem ile. Nie umiem liczyć lat. Na Garden-street nowi chłopcy w nowych patrolach. Z naszych znanych został tylko stary bibliotekarz Mr. Bookson Szpar-galarz. Do zapuszczonej biblioteki od czasu do czasu przychodzi listonosz i przynosi listy; od Skirtsona, który przepływa wody Pacyfiku; z Indji wschodnich, gdzie stoi pułk Tomka Clevera; od Browna, który studjuje w Oxfordzie i innych.

A na plaży w Rhyl fala z pluskiem uderza o przybrzeżne kamienie i zalewa raz po raz wilgotny piasek. Polly, w barwnej pijamie siedzi na piasku, obok niej owinięty w płaszcz kąpielowy stoi Fred. Pokazuje jej ręką biały żagiel kołyszący się daleko na morzu żaglowki i pyta:

— Pamiętasz łódkę strażnika Jacksona?

Polly nie odpowiada. Patrzy zamysłona na białą pianę fali, która podpyływa i osiada na piasku tuż, przed jej gumowemi pantofelkami.

KARPATY MA-MAROSKIE.

Od punktu zbiegu trzech granic: polskiej, czeskosłowackiej i rumuńskiej na *Sto-ha* (1653), ciągnie się ku zachodowi grupa gór, charakterem ogólnym przypominająca Czarnohór, jednak przewyższająca tę ostatnią pięknem widoków na Czarnohór i Alpy Rodniańskie, a zwłaszcza na kilka wzniesień w niej samej szczytów, które wyglądają swym przypomnieniem tatarskie turnie.

Wejścia na Stoh od strony polskiej dla idących od Zabiego najkrótsze: a) z Szybenego przez Ruski Dół; b) z kłauzy Szybenego w górę potoku Szybeny, a potem płajem na poloninę Kolo Krzyż 1498 pod *Stohow-cem*. Obie drogi 4-5 godzin. Dla idących od Howerli: grzbietem Czarnohory. Od *Popa Iwana* czarnohorskiego 4-5 godzin drogi.

Od Stohu biegnie cały czas głównym grzbietem Karpat Marmaróskich wygodna ścieżka wydeptana przez strażników rumuńskich strażnicę znajdują się mniej więcej trzy dni od strony drogi. Droga biegnie przez

— Wiesz — ciągnie Fred dalej — ja tej historii, ja tego „Sladu na wodzie” chyba nie napiszę, boję się, że ludzie po przeczytaniu jej powiedzą, jak Faust z Twojej czerwonej książeczki: „Man ist so klug, wie ich auch zuvor”. Wiesz co zrobię?

Polly patrzy nań wyciekająco.

A wtedy Fred wyciągnął ręce w górę i zawołał — Ja książkę moją, moje dzieło napiszę nie inkaustem, a życiem swoim i książkę tę ofiaruję tobie, tobie ją dedykuję...

— Mnie? — zapytała Polly z uśmiechem.

— Tak tobie — pochylił się nad nią i patrząc radośnie w jej jasne oczy zaczął mówić wyraźnie i pięknie szczerzywie:

To Polly my wife
My joy and my life
For her good — will and look
I dedicate this book.

KONIEC.

Powieść naszą poruszającą, wiele żywotnych spraw dla ruchu skautowego ilustrowaliśmy rysunkami Baden-Powella.

Corbal, Stival skład piękny widok na wznoszące się na południu skaliste granie *Farcaur* (1961) i *Michaleuca* (1920). Widać stąd od strażnicy pod *Stawalem* (cecha 1601), a prowadząca do Ruszkicy, 10-12 godz. Dalej biegnie droga nasza przez *Nieniske* (1822 i 1820) i omijamy *Mezipotaki* (1716). Cztery godziny od Stohu. Piękny widok na znajdujące się na zachodzie *Petrosul, Berlebaszkę* oraz *Pop Iwana* od którego dzieli nas cztery godziny marszu. Z *Popa Iwana* (1940) prowadzi najkrótsza droga 4-5 godzin, do Trebusy, przez *Poloninkę* (1625), grzbietem między potokiem *Rozisz* wk, a potokiem *Białym*, wreszcie dolną potoku *Białego*. Do wejścia tą drogą z Trebusy na *Popa* potrzeba prawie osmiu godzin.

Z *Popa Iwana*, trawersując *Berlebaszkę*, możemy się dostać w trzy godziny na *Petrosula* (1784) z którego rozciąga się bardzo piękny widok. Powrót z *Petrosula* na

przełęcz pod *Berlebaszką*, 1 1/2 godz., skąd można zejść przez *Szeworę* (1467) do *Trebusy*, lub *Rahowa* przez *Magurę* (1 89), *Mencul* (1380) i *Krowiszczę* (821). Ośm godzin marszu.

Jeżeli nie przechodzi się w głąb terytorium rumuńskiego (*Farcaul*) wystarczą legitymacje konwencyjne z w. za czeskosłowacką. W przeciwnym razie należy się zaopatrzyć

w wizę rumuńską i przy przekraczaniu granicy zażądać na strażnicy przybicia pieczątki.

Strażnicy rumuńscy, bardzo grzeczni, władają tylko swym ojczystym językiem. Z Czechami i rusinami można się zupełnie dobrze porozumieć, mówiąc powoli po polsku.

Mapy 1: 75000. Marmarosz-Sziget 14 XXX, Ruszpolana 14 XXXI; ewentualnie *Kabola Poljana* 13 XXX.

ADAM LUKESCH.

INWENTARZ DRUŻYNY.

Inwentarz, to dorobek drużyny zdobyty niejednokrotnie ciężką pracą, trudem i mozołem wielu harcerzy, winien być przeto oteżonym opieką i ochroniony przed możliwym zniszczeniem.

Inwentarz musi być przechowywany w miejscu suchym, w szafach lub skrzyniach. Wskazaniem byłoby podzielić cały inwentarz na działy, gdyż to ułatwia orientację n. p. Dział I połowy, II sportowy, III zeglarski, IV izby, V różny.

Celem możności sprawdzenia tożsamości, wszystkie przedmioty muszą być oznaczone. Znaki te powinny być trwałe i tak umieszczone, aby w czasie pracy nie uległy zniszczeniu. Znaczenie farbami jest najmniej wskazane, zwłaszcza takich przedmiotów jak siekiery, łopaty, garnki i t. p. gdyż już po krótkim użyciu farba zostanie zupełnie starta. Sprzęty metalowe należy znaczyć znacznikami stalowymi, które przez uderzenie zostawiają na powierzchni metalu trwałe znaki, nie dające się łatwo usunąć. Do przedmiotów drewnianych, można również używać znacznika, którym można znaki wypalać. Materiały płócienne znaczyć dobrym tuszem, który jest bardzo trwały i nie ulega starciu przy praniu lub zmożeniu. Przedmioty emalowane, znaczyć można lakierem emalowym, który jednak ulega zniszczeniu, zwłaszcza gdy się znaczy nim naczynia przeznaczone do gotowania. Wskazaniem byłoby na naczyniach emalowanych przylutować małe tabliczki mosiężne z numerem.

Znak inwentarzowy, powinien się składać z cyfr drużyny oraz liczby porządkowej inwentarza i działu.

Działy znaczyć cyframi rzymskimi n. p. 14. Lu. 36/11.

Jeżeli jakiś przedmiot składa się z kilku części, mogących być oddzielonych od siebie, wówczas należy oznaczyć każdą część z osobna, n. p. plachty i pale namiotowe.

Sprzęty płócienne opieczotkować pieczątką drużyny, używając jako farby tuszu, którym natrzeć pieczęć. Pieczęć z tuszu łatwo oczyścić przez wytrącenie szmatką przepojoną spirytusem.

Jak już wspomnieliśmy, inwentarz ma być przechowywany oddzielnymi, w tym celu należy szafę podzielić półkami na działy. Inwentarz należy często przeglądać, zwłaszcza jeżeli czas dłuższy jest nieużywany. Sprzęt płócienny, jak mundury, namioty, żagle i t. p. muszą być często przewietrzane, dobrze jest też posypać natłuszną, zwłaszcza na zimę, aby ochronić przed mrozami. Bardzo wielką uwagę należy zwrócić na namioty. Namioty można magazynować tylko zupełnie suche i należy je oczyścić, namiot choćby tylko trochę wilgotny złożony i zmagazynowany, okryje się pleśnią, która go zniszczy zupełnie. Wszelkie sprzęty metalowe muszą być dokładnie oczyszczone z błota, kurzu, lub rdzy i natarte wazeliną, aby ochronić przed zniszczeniem działanem rdzy lub śnieżki.

W zakres prac inwentarzewych wchodzi prowadzenie książki inwentarzewej która powinna być prowadzona bardzo czysto, starannie i czytelnie. Książka inwentarzowa powinna być dostatecznie grubą, co najmniej 100 kartek, formatu *folio*, linjowana. Stronice książki inwentarzewej, muszą być ponumerowane, a liczba, ich stwierdzona przez *Kolo Przycioli*, Komendę Chorągwi, względnie *Hufca*, w tym celu grzebiot książki należy przedziurkować, powieć tasemką, a końcej opieczotkować.

Książkę inwentarzową trzeba podzielić na działy. Każdy przedmiot powinien być osobno wpisany. Przedmiot powinien być możliwie dokładnie opisany, a więc podać z jakiego materiału zrobiony, jakie posiada wymiary. Należy podać również datę zakupu zgodną z odnośnym kwitem.

Wzór książki inwentarzowej:

Lp.	Nawa przedmiotu i jego opis	Data zakupu	Cena		Nr. kwitu	Stan przedmiotu				U w a g i	Uwagi i ilustracji	
			Zł	gr		I	II	III	IV			
			Zł	gr		Zł	Zł	Zł	Zł			
1.	Kocotek pojem. 10 l. polany „ideal”	4/III 1932	12	50	75/32	12/50						
2.	Saperka wojskowa, rosyjska	15/IV 1932	2	—	Dar Dha J. Rybickiego	2—				Ostrze lekko wyszczerbione		
3.	Chorągiewka syg. z drzewcem dębowym, czerwono-żółta 50×70 cm.	23/IV 1932	2	70	108/32	2/70	2—			17/VI 1932 rozdarto na ćwiczeniach		

Jeżeli jakiś sprzęt został drużynie ofiarowany bezpłatnie, to w rubryce „Nr. kwitu” należy wpisać nazwisko ofiarodawcy w rubryce „cena” podać wartość ofiarowanego sprzętu.

Ponieważ inwentarz ulega zniszczeniu i zużyciu, należy co pewien czas n. p. raz do roku, po obozie, przeprowadzić ocenę wartości i zużycia inwentarza. Zależnie od stanu zużycia lub zniszczenia, przesuwa się sprzęt do niższej klasy wartości lub zupełnie go się skreśla z inwentarza, jako bezużyteczny, może to nastąpić jedynie za zgodą drużynowego. Wówczas odpowiednią pozycję skreślić czerwonym atramentem, a w uwagach podać powód skreślenia, najlepiej czynić to w formie protokołu podpisanego przez drużynowego inwentarzowego.

protokół taki przechować w aktach drużyny. Inwentarzowy powinien również przechowywać kwity odnoszące się do inwentarza drużyny. Z końcem każdego roku kasowego po przeprowadzonej kontroli kwitów przez Kom. Chorągwi lub Hufca, inwentarzowy otrzymuje kwity z zakupów inwentarza. Inwentarzowy wypożycza sprzęt zastępom i członkom drużyny za odpowiedniego rewersem. Warunki i termin zwrotu powinien być unormowany przez drużynowego.

Kalendarzyk zajęć inwentarzowego:
Kwiecień — uzupełnić sprzęt obozowy.
Wrzesień — naprawić zniszczony sprzęt na obozie.
Październik — konserwować sprzęt na zitrę.
Grudzień — przedłożyć drużynowemu raport i ostatnie i wartości inwentarza (dane do raportu rocznego).

F. M. USARZ.

1911 — 1931

GARŚĆ WSPOMNIENIĘ OSOBISTYCH.

(Ciąg dalszy).

25. Wymarsz.

Nie było nam danem już zbyt długo popasać we Lwowie. W kilka dni później na wyraźne życzenie sztabu austriackiego, którego do tego zmuszała sytuacja wojenna, postanowiono wymarszerować ze Lwowa. Zamiast jednak iść w kierunku frontu bojowego, przeniesiono się nawzajem, że Legion nie jest jeszcze

należy przygotowany do walki, że szwankuje strona organizacyjna i gospodarcza i t. p. To też władze postanowiły wymarszerować, ale do Sannoka, gdzie miała nastąpić dalsza organizacja i ostateczne wyszkolenie bojowe.

Władze wojskowe austriackie poszły na taką koncepcję, gdyżowały widzieć usunięte ze Lwowa gro-

mady ludzi, zdolnych do służby wojskowej, niż pozostawiać ich we Lwowie, który — o czem wówczas nie wiedzieliśmy — był już zagrożony przez siły rosyjskie, idące od Brodów i Tomaszowa.

Po takim postanowieniu zrobił się we Lwowie ruch. Mężczyźni szli do Legionu, który lada chwila ma wymarszerować, plec piękna zaś oraz liczni urzędnicy państwowi zaczęli przenosić się w zachodnie strony państwa, gdyż od czasu do czasu słychać było huk armat, a niektóre urzędy otwarcie głosiły, że czas najwyższy, przenosić się w głąb Austrii.

To też dnia 2 września 1914 r. w piękny jesienny poranek, zaczęli ustawiać się karne szeregi, pięknie i dobrze wyposażonego żołnierza polskiego na ulicy Akademickiej i wszystkich przyległych. Widok był zaiste wspaniały! Choć niejednej matce łzy z ocz ciekły, żadna nie żalowała swych synów, boć mieli iść walczyć o Niepodległość. Tłumy ludzi zaległy chodniki, zwarte oddziały otoczone były nieprzejęzonymi masami ludzi, żegnających swych obrońców. Nie obróców, ale przyszłych bohaterów.

A jednak człowiekowi było głupio i niewyrażnie na duszy! Coś się czaiło, coś niejasnego pełzało wokół, nie dając pełnego zadowolenia z czekającego nas wymarszu. W końcu na znak trąbki — poruszyły się szeregi. Uformowano sprawnie czwórki i długi wąż począł poruszać się w stronę rogatki gródeckiej.

Żegnaj sestro..., żegnaj bracie...

26. Jak to na wojence ładnie...

Zaraz na pierwszym przystanku koło rogatki, okazało się, że nie mamy pojęcia o wojnie. Pięknie bowiem wyglądało posiadanie dwu mundurów, kilku par białizny, pełno smakolików i t. p., jednak uniesienie tego wszystkiego zapasu na własnych plecach było wykluczone. Stąd też pierwszy

postój zaznaczył się leżącami w rowach przydrożnych olbrzymiami wprost masami sprzętów poprzednio wyliczonych, części mundurów oraz jedzenia.

Z lżejszym więc tornistrem i chlebakiem, maszerowaliśmy w kierunku Basiołki, dziwiąc się tylko zarządzaniem wysłania straży przedniej, bocznych i tylnych. Czyżbyśmy naprawdę byli w niebezpieczeństwie? Pluton skautowy jako czwarty w pierwszej kompanii objął straż tylną, a mój zastęp kroczył w tylnym ubezpieczeniu tylnej straży. W Basiołce dłuższy postój. Nam kazano zaciągnąć placówkę frontem ku Lwowowi. I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie to, że po kilkugodzinnym wypożyczku Legion pomarszerował dalej ku Lubieniowi, a my pozostaliśmy dalej sami na placówce, gdyż zapomniano nas ściągnąć. Stałiśmy przeto do wieczora, dziwiąc się tak długiemu wypożyczaniu Legionu.

Pod wieczór zaniepokojony już na serjo, wysłał mnie Cesio do Basiołki z zapytaniem co się dzieje. Ze zdziwieniem konstatuję tam fakt nieobecności Legionu. Od przeciągających taborów austriackich dowiaduję się, że spotkali Legion już w pobliżu Lubienia. Co tu robić? Zejść samowolnie z placówki? A może to tak ma być? Wątpliwości moje szybko rozprószył łącznik konny, który spostrzegłszy mnie podjechał bliżej i oświadczył, że wysłano go z Lubienia, by nas ściągnąć. Zabrałem go do Cesia, któremu oddał rozkaz natychmiastowego przymarszu do Lubienia.

Jaśniało już nad ranem, gdyśmy weszli do Lubienia dotarli, obiecując sobie słodki wypożyczek. Zastaliśmy jednak cały Legion przy śniadaniu, po którym zapowiedziany był wymarsz dalszy do Rudek. Cały więc nasz wypożyczek był tak długi, jak długo trwał wypicie czarnej,

gęstej od fusów kawy. Lepszą bowiem wypili wcześniej inni. Ciche nasze szmerania przeciwko kawie i marszowi uspokoił Cesio jednym słowem: Wojna. Kto nie chce — ma jeszcze czas, może wrócić do Lwowa.

Dalszy marsz do Rudek odbywaliśmy znowu w straży tylniej. Godnego uwagi nie zaszło nic, z tym może wyjątkiem, że coraz bardziej ubywało nam niepotrzebnego balastu w wyekwipowaniu. W Rudekach czekała nas znowu plaćcówka. Tak więc drugą noc spędzaliśmy prawie bezsennie, wysilając w dzień całą swą istotę w marsze. Jest to szalenie przykre uczucie, dopóki dość się nieprzywyknie. Później nauczyliśmy się odbywać te marsze mechanicznie, bez wkładania w nie całych sił, a nawet co najważniejsze spać w marszu!

Z Rudek pomaszzerowaliśmy do Sambora. Wyczerpanie marszem było tak wielkie, że większa z nas część wolała spać na chodniku kamiennym w tym miejscu, gdzie nas przypadkowo zatrzymano, aniżeli iść kilka kroków dalej do gimnazjum, gdzie mieliśmy przygotowane kwatery. Sambor zaznaczył się u nas pewnym przykrem wspomnieniem. Wobec bowiem złego gotowania przez dotychczasowych przygodnych kucharzy, strawy, komendant Haller zdecydował, że przeciw do tych rzeczy będą najlepsi skauci z bardzo wielu względów. Przedewszystkiem są najmłodsi, więc należą się im pewne ulgi (kucharze jechali). Następnie umieją dość dobrze gotować, dadzą więc sobie radę. A co najważniejsze, są uczciwi, więc i solidnie rozdziać będą porcję. Te wywody komendanta nie przypadły nam do przekonania. Powtórzone przez Cesia, wywołały lekki odruch z naszej strony. Na zapytanie, kto się zgłasza na ochotnika na kucharza, nie wystąpił nikt, a biedny szewczyzna nasz dh. Trzeciak oświadczył, że idzie się bić,

a nie gotować. Jak słyszeliśmy stanowisko nasze wprowadziło Hallera w trudne położenie, gdyż faktycznie nie można było wówczas znaleźć nikogo, koby temi sprawami zechciał naleźć się zająć, a nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, jak wiele zależy od napełnionego żołądka żołnierskiego. Widzieliśmy jednak oznaki zadowolenia z naszego stanowiska ze strony Cesia i to nam wystarczało.

Nie będę opisywał dalszej drogi. Pozostaliśmy nadal w kompanji, traktowani coraz lepiej przez wszystkich, którzy widzieli, że dajemy sobie radę w każdej sytuacji, niejednokrotnie lepiej, aniżeli inni — starsi wiekiem i doświadczeniem. Podnieś jednak muszę, że Legion, jako taki, w miarę marszu ku swemu przeznaczeniu, wzrastał w siły. Zbiegali zewsząd młodzi pełni zapału ludzie. Przedewszystkiem ciągnął lud wiejski, ze wsi polskich, przez które lub w pobliżu których maszerowaliśmy.

c. d. n.



WIKTOR FRANTZ.

W KRAINIE BRYNDZY I MAMAŁYGI.

O godzinie 8 rano przyjeżdżamy do Czerniowiec. Na dworcu orkiestra w strojach skautowych gra nam na powitanie siarczystego marsza. Wysypujemy się z wagonu wraz ze sztabdarem i ustawiamy się w dmuśszeregu naprzeciw skautów rumuńskich.

Instruktor ich, w mundurze kapitana, trzymając rękę przy daszku, wita nas w języku rumuńskim. Nasz

komendant uśmiecha się tak, jakby słowo w słowo rozumiał, i z kolei, gdy orkiestra w nieco może za wolnym tempie odegrała nasz hymn — odpowiada mu bardzo serdecznie po polsku. Teraz uśmiecha się kapitan Sidorowici, orkiestra gra hymn rumuński i rumuński instruktor wyciąga rękę do naszego komendanta, oczywiście lewą.

I oto mamy typowy dla każdego jamboree międzynarodowy młynek skautowego braterstwa, kiedy to lewą rękę wychodzi na spotkanie prawa, a prawej lewa i obie ręce naprzóżno usiłują się złączyć. Widok ten zaiste wzruszający i symboliczny.

Ale młynek w Czerniowcach nie trwa długo, przedstawiciele obu narodowości pochwycili swoje ręce prawa prawą, lewą lewą i tak ścisną ją sobie na krzyż. Równocześnie kończy się także przekleństwo wieży Babel. Ratunek zastąpił tym razem w postaci języka niemieckiego.

Udajemy się z dworca czwórkami i przy dźwiękach orkiestry, na zwiedzenie Czerniowiec. Właściwie to niema znów co tak zwiedzać, droga od dworca pnie się ku górze, w rezerwoarze wysokiej wieży wodnej miał się tam ktoś niedawno utopić, na ulicach kurz, a jedynie wielki i naprawdę piękny budynek w tym wielkiem, ale pospolitem pod względem urbanistycznym mieście, to pałac metropolity obrządku wschodniogreckiego, zbudowany w stylu orientalnym o bogatej mozaikowej ornamentacji wnętrza.

Przyjął nas tam w sali synodalnej sam metropolita Nectaire, który w krótkiej przedmowie dał wyraz swej sympatji do Polaków i dla ruchu skautowego. Przemówienie to tłumaczył nam zdanie po zdaniu jeden z otczenia metropolity na język polski. Na Bukowinie wogóle bardzo często można spotkać się z mową polską.

Następnie udajemy się do konsulatu polskiego, przedstawiciele się p. konsulowi Grabińskiemu, a stamtąd do dowódcy 8 dywizji gen. Jacobiego. General wita się z nami z uprzedzającą grzecznością, ścisnąjąc wszystkim bez wyjątku ręce.

Uprzejmość i gościnność Rumunów, ich serdeczność w obejściu się z nami — podbija z miejsca naszą sympatję dla całego kraju i jego mieszkańców.

Po zwiedzeniu Czerniowiec wracamy na stację do pociągu, który



„Nianaytek obozowy”.

nas powiezie w dalszą drogę do Sibiu. W drodze tej towarzyszy nam kap. Sidorowici, który również udaje się na jambo.

Przez okna wagonu, migają schludne stacyjki o dziwacznych dachach i trudnych do wymówienia nazwach.

Na polach chłopci w białych płóciennych ubraniach, przepasanych samodziałowemi pasami, koszą siano, a kobiety w malowniczych strojach rumuńskich, przypominających strój hueulski, okopują kartofle. Tu i ówdzie pasą się całe stada brudnych świń, które z daleka robią wrażenie baranków, być może dlatego, że przywykliśmy raczej widzieć owczarzy, niż świniopasów, a trzodę chlewną hoduje się u nas w chlewach, a bardzo rzadko wypędza na łąki.

Na stacji Pascani peron, przy-

ozdobiony chorągwiemi o barwach rumińskich. Dowiadujemy się, że tędy przejeżdżał król do okolic nawiedzonych powodzią.

Kilometry rosną. Już druga noc upływa nam w wagonie. Zapasy żywności, wzięte na drogę, topnieją coraz bardziej. Bo i cóż robić w unoszącym nas w dal pociągu. Trudno śpiwem przekrzyknąć łoskot pedzających wózów, pozostałe więc jedzenie i sterzenie w oknie. Przez okno jednak warto wyglądać, okolice przez które przejeżdżamy, są naprawdę czarujące. Droga i tor kolejowy wiodą wzdłuż doliny rzeki Prahawy. Po obu stronach wciąż wznoszą się wzgórza. Widzimy zagłębienie naftowe, najęzione wysokimi szczybami. Na drogach coraz częściej widać zaprzęgi wółw i krów o długich rogach i ciemnej sierści. Wzdłuż gościńca ciągnie się piękna, kamienna, lukowata ułożona balustrada, a sam go-

ścień pnie się w górę lekką serpentyną po wiaduktach, cudnie rozpiętych nad lesistymi przepaściami. Pociąg, ciągniony teraz przez dwie lokomotywy, wpada co chwile w zimny tunel, w którym dudni głucho i napelnia wagony przez niezamknięte okna gryzącym dymem.

Okolo południa przejeżdżamy przez stację Sinaja, letnią rezydencję króla, o pięknie rozgrupowanych wилłach i pałacach z pałacem królewskim na dominującym miejscu. I znówu szereg małych górskich stacyjek i widok na malownicze pasma Alp Transylwańskich. Po dwugodzinnym postoju w Brasov jedziemy dalej. Na wcale małej stacji Tagaras widzimy przy pociągu mnóstwo oficerów, różnej mundury mieszają się z sobą, jak barwy w kalejdoskopie. Jak nas objaśnia kap. Sidorowicz, znajduje się tutaj wyższa szkoła wojskowa oficerów sztabowych. c. d. n.

NA SZLAKACH „WIELKICH ŁOWÓW“.

Pod tym ogólnym tytułem umieszczają będziemy, aż po koniec roku wspomnienia i opisy z przegód, wózków i obózów wakacyjnych, nadesłanych do naszej redakcji, w tej kolejności w jakiej napłynęły.

Z Gdyni do Cetniewa.

(Z pamiętnika czortkowskiej czwórki).

Drugiego sierpnia, drugiego dnia po wspaniałych uroczystościach „Święta Morza” wjechałszy małym parowcem z Gdyni do Oksywia. Dalszą część drogi mieliśmy zamierzać przebyć pieszo, zwiedzając jaknajdokładniej Polskie Wybrzeże. Zadnych planów co do marszrut, czasu i typობodnych horoskopów na przyszłość nie powzięliśmy. Mieliśmy ze sobą trzy namioty dwuosobowe, dwa koce i wielką pewność że wycieczka się uda.

Z Oksywia, który nie posiada nie ciekawego poza kilkoma drogami, chcieliśmy się dostać za wszelką cenę do portu wojennego. Już z daleka potężne cielsko starego „Baltyku”, podnieceni naszą ciekawością, zdradzając zaledwie rąbek tajemnicy tego, co się kryło w basenach właściwego portu. Nieestety, do portu nas nie wpuszczono. Potężnej tuszy strażnik z upartością Cerbera bronił przejścia, odpowiadając na wszystkie

nasze prośby krótko i wytrwale: „nie”. Cóż było robić... Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Już wiele czasu minęło i słońce starczo pochyliło się ku zachodowi, kiedy minawszy Obłuzę i czarnemi słupami torfów najęzione mokradła, wpadliśmy jak w morze, w zielone i dopiero kwitnące kartofle.

Brnęliśmy przez nie dobre dwa kwadransy, gdy drogę nagle przeciął nam iscied podolski rozłożysty jar.

Stanęliśmy i w niemym zachwycie podziwiali wspaniałą, ciemną zielenią bujnie rosnących na stokach jaru krzaków i wysokich sztywnych traw. Z krawędzi jaru, rozciątał się cudny widok na siwe morze, zamknięte od półn. zachodu wąską, delikatnie zarysowaną kreską półwyspa Helu.

Na dnie zupełnie dzikiego jaru, świeżo wybudowana willa, neclia nas swoją tajemniczością. Odczuwaliśmy podziwialiśmy cudowną kompozycję krajobrazu: morza i zieleni lasów. Z kąpielni często nadmorskie lony wzorzyko. Mijaliśmy często nadmorskie jaru podobne do owego z tajemniczą willa.

W każdym napotykaliliśmy bujną nadmorską florę. Krajobraz nadzwyczaj urozmaity, lekkimi wzgórzami, poroślemi lasami, najczęściej dębowymi, zwykle z widokiem na morze. W dwie godziny od pierwszego jaru za Obłuzę, wpadamy na obszerne równiny za Torfowo-bagniste, poprzeczane siecią odwadniającego kanałów. Jedynym objawieniem krajobrazu to krowy w czarnobiałe łaty, przejuwające spokojnie soczystą trawę i grupy rzadko rosn cych drzew.

Dla skrócenia drogi idziemy naprzelaz przez bagniska torfowe. Teren jednak staje się bardzo grząski. Mamy pełne bucki wody. Komary tną niemiłosiernie nasze odsłonięte kolana. Często napotykalimy kanały odwadniające o bagnistych, trudnych do przebycia brzegach. Jesteśmy zmęczeni i zrzęzynowani. Najkrótszą drogą wydostajemy się na bitą szosę. Za Dębowymi Górami idziemy wspaniałą szosą, wysadzaną z obu stron drzewami. Mamy zamiar w Pucku prenocować.

Szczęście nas i tutaj nie opuszcza. Jadące do Pucka auto ciężarówką, chcemy nas zabiera na umoczoną platformę. Jedziemy szczęśliwi, siedząc na białych od maki workach.

Smiejemy się...

Mijamy z błyskawiczną szybkością kilka przydrożnych wsi, robimy kaczą rodzinę, odbywając na ulicy swe poobiednie *doleje fur niente* i wpadamy jak kula w wąskie uliczki Pucka.

Ponieważ zyskaliśmy wiele na czasie, jadąc do Pucka autem, postanowiliśmy dłużej w tem mieście nie zatrzymywać się i jeszcze tego samego dnia, wyruszyć do Cetniewa.

Narazie jesteśmy wśród wąskich średniowiecznych miasto przypominających, uliczek. Idziemy pierwszą lepszą ulicą. Ulica nagle kończy się: zatrzymujemy się na samem wybrzeżu zatoki puckiej. W zatoczce cisza, tuż przy brzegu stoi kilka łodzi rybackich. Na jednej łodzi spostrzegamy kilka dopieroco złowionych węgory. Zrywnione ryby wlezuco atachyiami do pak zamkniętych, pelnych małych, okrągłych otworów i zatopiono w morzu. Zawracamy na wleśnią drogę.

Mijamy suszarnię ryb z zachęcającą lawaczką pod ścianą i gazetą „Welt und Leben” i wychodzimy na szosę prowadzącą do Cetniewa. Na prawo rozciągają się trawiste łąki. Po hangarach i kilku hydroplanach, poznajemy puckie lotnisko.

Na szosie, którą idziemy, panuje wielki ruch autobusowy. Dowiadujemy się, że do Cetniewa przyjechał właśnie Pan Prezydent i zwiędła tamtejsze obozy P. W. i Strzelca.

Szosa tuż za Puckiem, biegnie samusięmkiem skrajem morza, umajona wąską, twardą i ostrą trawą morską.

Słońce jak wielki japoński lampion styka się z linią naszego horyzontu.

Zapada wieczór...

Jeszcze dwa kilometry... Spotykamy starego kaszuba. Rozmawiamy. W dali na zimnym granacie wieczornego nieba widnieje ciemna sylwetka wiatraka. W dole za wiatrakami kilka niewyraźnych zarysów drzew z gwiazdami okien słabo oświetlonych... to... — Cetniewo.

Stanisław Ent.

Łącko, Łącko łachone!

Długa linia ciągnie się Łącko, wygodnie rozłożone po lewym brzegu Dunajca. Po jednej stronie otaczają je rozległe pola, trokskliwe uprawione, po drugiej brystry Dunajec opasuje modra wstęga, a tuż za nim szorstkie góry zadróżnie strzegą jego granic. Równoległe do Dunajca biegnie wygodna szosa, która jest głównym śródziemni komunikacyjnym między Starym Sączem, a Krościenkiem i Szczawnicą, zaś nad w Piennym.

Zamieszkałymi w szkole. Rozlokowane wygodnie w trzech przestronnych salach, ba — z komfortem nawet; miałyśmy w osobnym budynku kuchnię, jadalnię i magazyn. Gdy się do tego doda ogród, w którym pod cieniami drzew, bajejnie było urządzać zbiórki, boisko do gier i kierownika, bardzo serdecznie odnoszącego się do nas, czyż można wymarzyć stosowniejszy teren do obozowania?

Było nas 54 w dwu grupach: obóz i kurs. Obóz całe dni spędzał na wywiadach krajoznawczych po okolicy, kurs w poecie czoła poświęcał nakreślony program kursu, a w godzinach wspólnych zajęć, obie grupy z kosztami w rękach, biegły do Dunajca. To, zdaniem wszystkich uczestniczek, był najrozśądniejszy ze strony komendy, punkt rozkładu dnia.

Pozatem obóz z upragnieniem czekał na zapowiedziane wycieczki w Pienny i Tatrę. Z temi wycieczkami nigdy u nas nie było wiadomo, jak i kiedy. Była to słodka tajemnica dri. Danki, która z najmniejszą krwią potrafiła zapowiadać wieczorem: przygotować się na trzy dni, albo: ruszamy dziś w nocny na tydzień.

A niezapomnianie, piękne dnia, spędzone na wspaniałej włóczędce, dziś tu, jutro w tamtej stronie, dziś na rozległej hali szutrowej, jutro na niebotycznych szczytach szumem „czarnej wody” kołysane do sa. Zostawialiśmy za sobą codziennie szmat drogi, i tylko zachłanne oczy zabierały po drodze wiele — jak najwięcej.

Kurs tymczasem, pozostawiony Łącko, miał swoją atrakcję: gry polowe. Przejście się niemi było tak wielkie, że udzielało się to miejscowej ludności, która z zapartym oddechem śledziła ruchy przeciwników, denerwując się więcej od samych uczestniczek

Tak było, że każda partja miała swych zwolenników, którzy uważali za obowiązek pomagać swoim, a szkodzić nieprzyjacielowi. A gdy po skończonej grze zwyciężycy i pokonane, zbierali się na lawce pod kasztanem, obywateli Łącka stawali grupkami, żywo rozprawiając. I tu — i tam tematem rozmów było poddawanie dyskusji błędów, popełnianych przez obie partje.

Czas leciał chżyżej, niż bystre fale Dunajca, pogoda i wesela harcerski zawary sojusz z pogodą nieba, i śmiało się dąsało, słońce złote, idąc w zawody z promianym usmiechem naszej Komendantki.

Ostatni dzień pobytu, to święto obozu — przyrzeczenie. Zebrane u ogniska, wsłuchaliśmy się w wypowiedziane wśród ciszy nocejnej słowa przysięgi, powtarzając w myśli za temi, które je składały. Plomyki ognia jasnym blaskiem oświecały skupione twarze i jakby zgarniali wyrezane słowa.

A potem już zwykła historia: pakowanie i odjazd.

O wschodzie słońca, zęgnaliśmy naszą szkołę, ledwo rysując się wzgórzka, Łącka całe, uśmiechając się smutnie do spotykanych ludzi, którzy wolali za nami: do widzenia, a wnet!...

Suchodół.

Jak możecie ciągle wracać na to samo miejsce?... spotkałem się z takim pytaniem. Istotnie kursy w Suchodole odbywały się już od kilku lat z rzędu. Suchodół stanowi jednak niemal wymarzone miejsce dla kursów. Przychylny i poparcie czynników miejscowych, a przede wszystkim Nadleśniczego p. Wasilewskiego i najbliższych „sasiadów” pp. Inż. Dziadków. Duża swoboda, dobre warunki klimatyczne, wiele przestrzeni dla wycieczek i harców. Oto dlatego wszystkie kursy czuły się tam dobrze.

Tegoroczne kursy dla drużynowych, prowadzone równocześnie w jednym obozie o różnym nieco programie — ale o tem samem założeńiu t. j. podnieść wyrobienie techniczne na wyższy poziom przy równoczesnem zaakcentowaniu, co każdy przyszły drużynowy wiecieć i jakim być powinien — dawały duży materiał obserwacyjny i porównawczy. Wiele ćwiczeń polowych przy sprzyjającej pogodzie, wycieczki na Arsycę, na Gorgan Ilemski i do doliny Łomnicy (pod Molodą i Osmolodą) oraz na Syhlos, rzekome napady na kurs nauczyielski i wyprawy z pomocą, bieg harcerski, noce „obławy”, festyn w sąsiedztwie, to wszystko składało się na urozmaicenie krótkiego pobytu harcerzy.

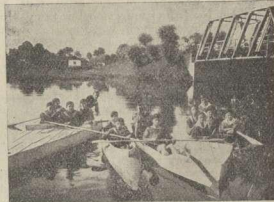
Kurs podharcemistrzowski trafił na gorszą pogodę, co przy silnem podkreśleniu w programie obozownictwa i harcowania

poszczególnych zastępów, dalo się wszystkim we znaki. Deszcz był „milym” towarzyszem niemal wszystkich większych przedsięwzięć. Dodawało to dużo uroku, a czasem było nawet wygodnem. Z biegu harcerskiego z reguły musiał wracać prawie każdy przemoczony do nitki (huśtawka nad wodą, most



Gen. Popowicz i dh. Wierzbiański z M. W. R. i O. P. na kursie w Suchodole.

nad drugą wodą i przeprawa przez wodę a z własnej pilności nawet dwie), czy mógł kto w takich warunkach wrócić do obozu „na sucho”, a przy deszczu było przynajmniej na co winę złożyć i „salwować” tem swój honor. Rozwiązywanie problemów życiowych n. p. jak się mogą dogadać dwaj harcerze, skoro jeden zna tylko alfabet Morse’go, drugi wyłącznie semafor (patrz nowe próby harcerskie-wymagania od wywiadowców pkt. 12.); jak wypaść się dobrze, równocześnie uczynić zadość obowiązkowi kursowemu, prowadzenia dzienniczka; jak „zdać”, u Dha Kapitana kartografę; i t. d. i t. d.



14 lw. udowadnia urbi et orbi, że w cichym Lwowie nie brak wilków morskich.

PRZEZ MOJE SŁUCHAWKI.

Od ostatniej kroniki radiowej, upłynęło już pięć miesięcy, przez cały ten czas „Kwadran” nasz, a raczej „Kąciak” funkcjonował bez przerwy wakacyjnej; i każdej środy dawał się słyszeć z Lwowa głos: „Rozpocznymy Lwowski Kącik Harcerski...” Wiece najpierw w czerwcu, fale eteru niosły do Was słowa biuletynów. Szły do Was wieści o przygotowaniach do zlotu skautów wodnych, wiece o przygotowaniach w Stancji na Buzu, na przyjęcie Światowej Konferencji Skautek; wreszcie o przygotowaniach na zlot w Rumunji. Przygotowania... przygotowania... W czerwcu też mówił Wam dh. Ostojka jak zorganizować „Pogotowie krajoznawcze”, a dh. Lukesch, jak „Na wielkim szlaku” wędrować.

A potem, w czasie wakacji, wysłał mikrofon „Komunikaty złotowe” i gawędy dla tych, którzy... zostali.

„Kąciak” nasz pracował nie tylko w Rozgłośni Lwowskiej Polskiego Radja! Przez cały bowiem lipiec urządził dh. Ostojka (na życzenie Kuratorium) odczyty o Organizacji Harcerskiej i dla kursów nauczyielskich. Odczyty te były nadawane przez krótkofalową stację nadawczą Korpusu Kadetów we Lwowie.

W ostatnim okresie sprawozdawczym przyjmowaliśmy przed mikrofonem dwa „zespoly zagraniczne”. 15 czerwca drużyna męska z Żółkiewi odśpiewała kilka pieśni harcerskich, zaś 3 sierpnia 1 żeńska drużyna z Zakopanego, śpiewała piosenki góralskie.

Dobry przykład daly Żółkiew i Zakopane! O której też drużynie wypadnie mi teraz zanotować w kronice?

W gawędach powakacyjnych zyskieliście już tylko — wspomnienia naszych wielkich zdarzeń wakacyjnych... Buce, Jezioro Garzyńskie, Rumunia...

Wspomnienia... przeszłość..., nie tylko to, jest i terażniejszość, mocna, krzepka, radosna... Harcerska terażniejszość w naszym „Dworku Cisowym” w Pieniach, „Dworek Cisowy” — Szkoła pracy harcerskiej”, tak brzmiał tytuł jednej z gawęd w październiku. A ciekawa to była gawęda. Odbyła się z okazji bytności we Lwowie „Dziedzi dworowych” wraz z gronem nauczyielskiem. Zresztą o „Dworku” jeszcze posłyszycie!...

Czuwaj!
M. B.



W DZIEŃ ZADUSZNY.

(Dhom, którzy odeszli na wieczną wartę)

Wokół grobów głucha noc — Na wieżycy nybit dżmon! A na jego gronki zew, wstają duchy... Jego ton, dzwiczęcy rzewnie wiekiem gnany nad cmentarzem nad kurchany, nad rubieży kres...

Błyska ognisk wkrąg tustęce... Wokół zbrojnych duchów tłumy... Wśród pogwaru pieśń „legunów” i husarskich skrzydeł szumy, łączą się w tej nocej wzawoty... I za niesłuch śtrop udorzą pieśń Zęgnięcia, pieśń o ślancie tych, co kryje grób żołnierza...

Leez z pomiędzy duchów tłumu, ku nam żywym wznoszą słodkie Ci najdrożsi — braci harcerska, która życie swe w obronie nas rzuciła. Wiece pomóżmy im druhowie! Z nimi złączmy dusie błagane... Niech im wieczna światłość święci, odpoczynek rzez dż Panie! Maziarek

†

Śp. Druh Jerzy Podracki z 1 Lw. Dr. Harcim. T. Kościuszki.

Utonął dnia 23. VIII ub. r. w nurtach Dniestru. Odeszł na wieczną wartę najdzielniejszy członek urwiszowskiego „Klubu Głodnej Menażki” i prawdziwy harcerz. Kochał „Stalową Jędykę” — a dla podniesienia Jej nie szczędził sił i czasu. Okryta żałobą drużyna czekać pamięć tragicznie zmarłego, sprowadziła jego zwłoki do Lwowa i tu je pochowała na cmentarzu Łyczakowskiem.

†

Z 1 żeńskiej Dr. Harcim. w Podwołoczyskach odeszły w b. r. na wieczne czuwanie Druhuzy:

Bronia Witwicka i Kazimiera Rychlewska
Strata dzielnych harcerok okryła smutkiem i żałobą kresową drużynę.

†

Ś. p. Helena Howska, drużynowa

odeszła na wieczne czuwanie 15. X b. r. w 19 wiośnie życia, osierocając III żeński. dr. harc. w Złoczowie.

†

Ś. p. pdh. Roman Koncki.

Ostatni lot na kursie lotnictwa szymbowego a także w swoim życiu odbył 21 X. Komenda Chorągwi Śląskiej straciła w nim dzielnego, kochającego obowiązeki swoje, pracownika.



WIADOMOŚCI SKAUTOWE.

Chorągiew Krakowska.



— Akcja obozowa chorągwi krakowskiej, rozpoczęła się w rb. już w czerwcu. Początkiem był obóz pokazowy na Błoniach pod Krakowem, urządzony celem pokazania szerokiej publiczności, jak wyglądają z bliska wakacyjne harce skautowe. Obóz ten był pomyślany, jako konkurs obozownictwa. Ogółem posiada Chorągiew krakowska następujący dorobek: Urządzono obozów 74 (8 obozów pokazowych liczone za 1), w którym wzięło udział 1583 uczestników, co stanowi około 45%. Harcerzodni 34.545. Obozów stałych pod namiotami było 45, przeważnie na terenie Podkarpacia i Beskidów. Na terenie K. O. P. znalazło się obozów 7, z Gorlic pod Zaleszczykami, z Jaworzna nad Zbruczem, VII krak. w Grodzieńszczyźnie, Zakopiańska pod Krzemieńcem, Żywiecka pod Husiatynem, Oświęcimska na Polesiu, Watra w Wileńszczyźnie. Obozów wędrownych było 14. Z tego obozów żeglarskich, przeważnie na kajakach było 5. Dwa wyszły z Krakowa docierając do Warszawy i Sandomierza. Liczbę obozów dopełnia 6 kolonij wychowawczych, oraz obozy 8 drużyn w obozie pokazowym. Do akcji letniej dochodzi jeszcze 6 kursów instruktorskich, oraz 2 dla nauczycieli, organizowane przez Min. WR. i OP., które przeprowadza corocznie osobiście Komendant chorągwi hm. Wład. Szczygieł.

Chorągiew Śląska.



— 23. X. odbyła się w Cieszynie uroczystość 20-lecia założenia drużyn harcerskich na Śląsku Cieszyńskim. W uroczystości wzięły udział miejscowe drużyny. Liczne bo przeszło 180 osób liczące było grono przyby-

łych gości harcerzy zarówno z poza Olzy, jak też ze Śląska Górnego. Uroczystości poprzedziło ognisko, na którym wygłosił gawędę dh. Prof. Dr. Hm. Rzp. Tadeusz Strumiłło. W niedzielę po mszy św. odbyła się defilada a następnie akademja w Domu Narodowym. Po południu odbyły się zawody lekko atletyczne oraz bieg harcerski.

Chorągiew Lwowska.



— Pracę w b. r. zaczął Hufiec Kamionki Strumiłłowej, „świętem harcerskim“ w dniu 16 X 1932. Po uroczystym nabożeństwie odbył się Raport Hufca na boisku Sokoła. W dniu 22 X 1932 odbył się w Hufcu kamionckim „Kurs administracyjny“ dla przyb. i zastępowych drużyny, prowadzony przez dh. Asarabowskiego.

— Dnia 30 X. odbyła się odprawa hufcowych w Kom. Chor. Męskiej. Tematem obrad był nowy plan pracy K. Ch. który zreferował dh. kap. Usarz. G. K. M. reprezentował dh. hm. Tomasz Piskorski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

W następnym numerze opis skautowego amuletu Baden-Powella.

Michalski. Łódź. Po portret radzimy zwrócić się do dha Oberca, druž. XI. Lw. Lwów, Jacka 1. Komenda Hufca.

Szymański. Gdańsk. Zatrzymujemy w tece. Pójdzie.

Juryk. Wilno. Odpiszę wkrótce listown.

Wszystkim naszym współpracownikom donosimy uprzejmie, że cały szereg artykułów nadesłanych nam łaskawie czeka na swą kolejkę i tylko chroniczny brak miejsca nie pozwolił dotychczas na ich umieszczenie.

PRENUMERATA: roczna zł 3·50, półroczna zł 1·80, kwartalna zł 1·05. Zagranicą rocznie zł 4·50. Prenumerata ulgowa dla drużyn harcerskich (płatna z góry za miesiąc, kwartał, półrocze lub rok) przy odbiorze 5—9 egzemplarzy po 30 groszy za egzemplarz, a przy odbiorze od 10 egzemplarzy wzwyż po 25 groszy za egzemplarz. — Zobowiązania prenumeratorów ustają z chwilą pisemnego odwołania prenumeraty.

Redakcja i Administracja we Lwowie, ul. Długosza L. 1. — Godziny urzędowe Redakcji i Administracji codziennie od 19—20 z wyjątkiem niedziel i świąt. Konto P. K. O. Nr. 152.818.

WYDAWCA: Zarząd Oddziału Lwowskiego Związku Harcerstwa Polskiego. — Redaktor naczelny i odpow. WIKTOR FRANTZ. — Sekretarz Redakcji: LEOPOLD GÜNSBERG. Kierownik Administr.: WŁADYSŁAW WENZEL.

TŁOCZONO W Drukarni Urzędniczej — LWÓW, ZIELONA 7. TEL. 91-07.